



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

ŚWIĘTE NIEWIASTY.

Widziały jako na krzyżu umierał,
Głowę pochylił i oczy zawierał,
Jako Go ostrzem na wskrós przebudzono,
A ziemia drżała i trzęsły się skały.
Gdy Go martwego do grobu kładziono
I to widziały....

Przecież o świcie cudownego rana,
One najpierwsze na Golgotcie były,
One najpierwsze padły do nóg Pana,
Gdy wstał z mogiły....
Bo to nie była Marya Kleofasa,
Nie Magdalena, ani Salomeja,
To była miłość, która nie zagasa:
Miłość, Wiara i Nadzieja.

M. Ilnicka.

WIELKANOC

przez

K. Wł. Wójcickiego.

(Dokończenie).

Zamykała cały *Dyalog* pieśń chórem odśpiewywaną o *Zmartwychwstaniu Pańskim*. Jest to, rzec można, ostatni *dyalog*, który w czystości właściwy a pierwotny swój charakter przechował.

Tego rodzaju *Misterya* i *Dyalogi* pobożne, które silny wpływ wywierały na umysł i uczucie ludowe, z początkiem XVIII wieku zupełnie zniknęły i pamięć ich nawet zatartą została we wspomnieniach społeczności naszej.

Wielki tydzień wszystkie stany obchodzili już uroczystości. Królowie polscy, jak i panowie udawali się na *rekolekcyje*, i przygotowywali w pobożnem rozmyślanu do spowiedzi wielkanocnej. Najzawołani hulaacy odrywali się od uczty i kielicha, wstrzymywali się od jadła i napoju i zachowywali post najściślejszy.

Królowa Konstancja, Austriaczka, małżonka Zygmunta III, przez cały *Wielki tydzień*, nawiedzała ubogich i chorych, udzielając im wsparcie. W *Piątek* obchodziła groby i całą noc przepędzała w kościele. Rozpustny król August II Mocny zasiadał na *rekolekcyje* u Reformatorów w Warszawie. Hulaszczy książę Karol Radziwiłł „Panie Kochanku” na parę tygodni przed świętami, w celi klasztornej u zakonników cały czas spędzał na modlitwie i postach ścisłych.

Wielki tydzień kościół nasz zaczyna od *Niedzieli kwietniowej*. W dniu tym obchodzony jest tryumfalny wjazd Zbawiciela do Jeruzolimy.

Przedemszą poświęcają się gałązki palmowe i oliwne, a w braku tych wierzbowe lub z innych drzew, jakie się w rozkwicie znajdują. Gałązki te zdobią w kwiaty i zioła. Ztąd ta *Niedziela* nosi nazwę *Palmowej*, *Kwietnej* lub *Wierzbowej*.

W tych wiekach kiedy grywano *Dyalogi pobożne*, naśladowano też i wjazd tryumfalny Chrystusa do Jeruzolimy. Tłum ludu postać przedstawiającą jadącego Zbawiciela, otaczał z palmami w ręku i śpiewał przywiązane do całego obchodu pienia. Gdy zwyczaj ten zarzucono, w naszych czasach odbywa się tylko na tę pamiątkę processya w kościele, a celebrującego, otaczają tak kapłani jak i zgromadzeni wierni, niosąc poświęcone palmy.

Z chwilą rozpoczęcia się *Wielkiego tygodnia* ojcowie nasi najściślejszy post zachowywali, prze-

stając na samych pokarmach suchych; wstrzymywali się od wszelkich zatrudnień, zajmowali się samymi uczynkami pobożnymi, osobiście modlitwą i rozpamiętywaniem *Męki Pańskiej*.

Zbiór pieśni zwanych *Gorzkiemi z alami*, których treścią jest męczeństwo Zbawiciela, w tysiącach egzemplarzy rozchodziły się po rękach wiernych, i na żalosną nutę je w gronie rodzin wszystkich stanów z namaszczeniem śpiewano.

W wielką *Srodę*, *Czwartek* i *Piątek* odprawia się w kościele nabożeństwo zwane *Ciemną Jutrznia*; przypomina ono pojmanie Chrystusa, i ową noc smutną, podczas której był znieważany i męczony.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa *Jutrznia* pomieniona odbywała się w nocy, ztąd nazwano ją *Ciemną*.

W *Wielki Czwartek* obchodzi Kościół pamiątkę ostatniej *wieczery* z uczniami. Od tego dnia milkną już wszystkie dzwony, miejsce ich zastępują drewniane *grzechotki* i *klekotki*; również milczą i organy.

W dniu tym wyznaczają osobne miejsce, przybrane w kwiaty i krzewy, zwane *Ciemnicą*, dokąd się po mszy świętej z processją przenosi Najświętszy Sakrament. Ta *Ciemnica* wyobraża więzienie Zbawiciela, gdzie po swem pojmaniu był trzymany.

W dniu tym także przypada obrzęd *umywania nóg*, na pamiątkę, że Chrystus przy *ostatniej wieczery* apostołom swoim nogi umywał. Celebrujący biskup lub kapłan w kościele spełnia ten obrzęd na dwunastu ubogich. Królowie polscy spełniali go także. Ostatni z królów naszych Stanisław August, każdego roku w *Wielki Czwartek* umywał nogi dwunastu ubogim, którzy następnie zasiadali do *wieczery* w zamku warszawskim i obdarzani hojnie, z błogosławieństwem opuszczali gościnne progi.

W średnich wiekach był ten obyczaj u naszego ludu wiejskiego, że, powróciwszy w *Wielki Czwartek* z kościoła, umywali nogi swoim domownikom

przyrządzali dla nich ucztę postną *Wieczerzą Pańską* nazwaną.

W dniu tym biskupi poświęcają Oleje Święte na potrzeby duchowne.

W *Wielkich Piętek* kościoły przybrane żałobnie, a aparaty duchowne są w czarnej barwie. Oddzielne miejsce w każdej świątyni Pańskiej jest urządzone, zwane *grobem*, dokąd się przy końcu nabożeństwa Najświętszy Sakrament przenosi, na pamiątkę pogrzebu Chrystusa i złożenia Jego ciała do grobu.

Po dniach smutku i ciężkiej żałoby nadechodzi *Wielka Sobota*, oczekiwana z utęsknieniem przez pobożnych, bo w dniu tym radosne zabrzmiał *Alleluja* i *Zmartwychwstanie* światu zapowiedzianem zostanie.

Po kościołach odbywa się poświęcanie ognia, na pamiątkę, że w dawnych wiekach codziennie krzesano ogień, poświęcano go, a potem lampy nim i świece zapalano.

I teraz nie inaczej jak tylko wykrzesany ogień się roznieca, dla zapalenia światła w przybytku Bożym.

Właściwa uroczystość *Wielkiej Nocy* rozpoczyna się w Sobotę wieczorem, albo o północy, lub też w Niedzielę rano, stosownie do miejscowego zwyczaju i zbierania się ludu do kościoła. *Rezurekcyja* rozpoczyna się od *Grobu Pańskiego*, który poprzednio lud tłumnie od Piątku nawiedza, z kądem, po przepiewaniu modlitw stosownych, wyrusza uroczysta processya z Najświętszym Sakramentem i przy wesołych nabożnych pieśniach kościół trzykrotnie obchodzi. W tę chwilę uderzają we wszystkie dzwony, a hymn radosny, zwiastujący *Zmartwychwstanie*, brzmi w ustach wszystkich.

W chwili, gdy się processya rozpoczynała, na wsi przy kościołkach parafialnych, był zwyczaj do końca XVIII wieku na całym obszarze naszego kraju, że młodzież wiejska i czeladź dworska przygotowywały małe armatki, moździerze i ręczną broń, z których bezustannie dawano salwy. Ztąd powstało owocne przysłowie na częste strzały w czasie polowania: „*Strzelają jak na rezurekcyi*.”

Po ukończeniu *Rezurekcyi*, obchód świąt Wielkanocnych przenosi się już w rodzinne kółka, gdzie na przyjęcie krewnych, przyjaciół i znajomych, stoły zastawione suto jadłem i napojem, oczekują.

Od najdawniejszych czasów do takiej zastawy liczone na pierwszym miejscu *Baranka*, jako godło Zbawiciela. Baranek był albo rzeczywisty upieczony, albo też wyrobiony z masła lub marcepanów. Obok baranka znajdowały się, od najdawniejszych też czasów, jaja święcone.

Starożytny ten zwyczaj przejęty został od Rzymian, którzy od jaj zaczęli swoje ucztę. Dawniej z jaj wielkanocnych robiono podarunki dla dzieci, co i teraz w wielu się miejscach zachowuje: ztąd powstał zwyczaj jaja farbować, i na nich wizerunki rysować, najczęściej takie, które się do uroczystości wielkanocnej stosują.

W dawniejszych wiekach do końca XVIII stulecia, domy magnatów polskich, jak i zamożniejszej szlachty, w imię starej gościnności, przesadzały się w hojności na zastawianie stołów *święconem*. Zpoza ciast przeróżnego rodzaju, wśród których trzymały pierwszeństwo *baby szafranowe*, placki i mazurki, stosy pieczonego mięsiwa przegładły. Szynki wędzone, surowe i gotowane, szczególnie z *dzików*, rej wiodły; pieczenie z grubej zwierzyny, jak łosie, jelenie i sarnie, a nie brakło ich nigdy, bo pełne tego zwierza były knieje zapadłe puszcz rozległych i ogromnych lasów.

W ulubionej rozrywce łowów, którym się tak namiętnie oddawała szlachta polska, zdobyć grubej zwierzyny nie była trudną.

Ludek wiejski, towarzysz dworów we wszystkich obrzędach religijnych, skromniejsze zastawiał *święcone* w swojej chacie ubogiej. *Kotacz* pieczony, kawałek mięsa, gdy nań starczyło, uprzywilejowana kielbasa i jaja, składały całe *święcone*, którem według przypowieści odwiecznej: „*Czem chata bogata, tem i rada*.”

Z radosnym sercem przyjmują swego krewniaka, kuma lub miłego sąsiada.

W życiu społecznym święta te nie miały odgrywać rolę, gdyż przed spowiedzią wielkanocną, podług obyczajów ojców, zawzięci się godzą, a nie-

przyjaciele łatwiej się dadzą skłonić do zgody i zawiązania stosunków życzliwych.

Nikt bowiem z żalem w sercu, lub ukrytą nienawiścią dla drugiego, nie śmiały się podzielić jajkiem święconem.

Takie przekonanie lud nasz dotąd przechowuje wiernie.

Toż samo uczucie dzieliła i szlachta polska.

W dziejach i podaniach życia domowego przodków naszych znajdujemy niejedną przykłąd i obraz rozrzucający, gdy do rozgniewanych rodziców, dzieci umyślnie przybywały w dniu pierwszego święta Wielkanocnego, aby przy dzieleniu się *święconem*, pozyskać łaskawe przebaczenie — i ta ich ufność nie zawodziła.

Progi ojczyzsty domu otwierały się w dniu tym gościnnie i łaskawie i już nie zamykały się nigdy.

Z wielu wypadków przywiedziemy tu jeden, podług *Dyaryusza* Bernata Sulimirskiego, z połowy XVII stulecia.

Antoni Drużbacki, rotmistrz, znany z waleczności, towarzysz nieodstępny Stefana Czarnieckiego, wykradł córkę starosty (niewiadomego nazwiska). Ojciec, rozgniewany, zabronił wstępu do domu, zarówno córce jak zięciowi. Po roku pożycia, które starościanka we łzach gorzkich spędziła, mąż postanowił raz tę niedolę skończyć, i namówił żonę, aby się razem z nim wybrała do domu rodziców w sam dzień *Wielkiej Nocy*. Biedna niewiasta, znając gwałtowność ojca, lękała się strasznie, ale narzecze przystała.

Miejscowy proboszcz, który święcił sutą zastawę stołów, był wcześniej uwiadomiony i oczekiwał ich przybycia nie bez trwogi wewnętrznej.

Zajechali cicho pod ogród i weszli do ojcowskiego dworu niespodzianie, gdy matka, poprzednio o wszystkim zawiadomiona, drżała ze strachu.

Pan starosta wesołym był humorze; już po wypiciu *starki*, zabierał się do dzielenia się jajkiem z krewnymi i przyjaciółmi, gdy się drzwi od sieni na ścieżkę rozwarły, i na progu ujrzał klęczących: nienawistnego rotmistrza i córkę swoją ukochaną z niemowlęciem u piersi.

Na ten widok zadrżał, z gniewu posiniał, chciał krzyknąć, nie mógł: gdy ksiądz z krzyżem świętym, stanąwszy przy klęczącej parze, i wznosząc wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela ponad ich głowami, wyrzekł uroczystym głosem:

„*I odpuść nam nasze winy, Panie! jako i my odpuszczamy*.”

Słowa te wywarły cudowny wpływ na rozgniewanego starca; ochłonął powoli z zawziętości, przeżegnał się, a potem, zbliżywszy się z talerzem, podał jajko święcone zięciowi i córce.

Kiedy tak z ciężkiej zaciętości ochłonął, rzewnie zapłakał: gorycz z serca ze łzami wypłynęła, przycisnął do serca oboje, pobłogosławił niemowlę a wnuczę swoje, i do święconego *dzieci swe* zaprosił.

Radość powszechna tak w rodzinie jak w kole krewnych i przyjaciół była wielką — i odtąd już swego przywiązania do córki pan Starosta nie zmienił.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Chociaż Francuzka, na stronę lejtnanta Vogta nawrócona, pilnowała teraz uczennicy swej, starając się o to, ażeby listów nie wysyłała, znalazła ją daleko przebieglejszą, niż się spodziewała.

Leonilla, jak tylko odkryła zmianę w swej nauczycielce, cofnęła jej swe zaufanie. O listach mowy nie było.

Śledząc po nocach, doszła Francuzka, że listy się

pisywały, ale nie potrzebowano pośrednictwa jej do przesyłania.

Strwożyła się tem.

Jednej nocy, gdy sędzianka potajemnie wstała dla przygotowania korespondencyj, St. Aubin weszła do niej w nocnym przyodziewku, chwytając ją na gorącym uczynku i poczynając wymówki, że już na wiarę nie zasługuje, kiedy się przed nią ukrywa.

Leonilla zasypała piaskiem poczęty list, wstała z uśmiechem od stolika, chowając papier za gors i odezwała się, wcale nie zmieszana tem nocnem najściem.

— Moja St. Aubin — jaka-bo ty jesteś dziwaczna! Wiem, żeś przestała lubić mojego ulubionego, że wolisz Niemca; nie chciałam ci czynić przykrości, a dla miłości twej i dla nieczyjej w świecie ja serca zmienić nie mogę.

— Lecz, zlituj się, co z tego będzie! — mnie uczynisz nieszczęśliwą, — ojca i matkę.

— Czem?

— Twoim uporem, moje dziecko! Sędzianka ruszyła ramionami.

— Kochana St. Aubin — dodała, patrzaj, że już po północy, idź spać, i bądź spokojną.

— Ale ja spokojną być nie mogę! — Leonilla ją uściślała:

— Weź kropli na uspokojenie — odezwała się — doprawdy nie ci innego poradzić nie umiem.

Francuzka, napróżno starając się wybadać, jakimi drogami wychodziły listy, straciła jeszcze z pół godziny na rozmowie i odeszła z niczem.

Nie poznawała uczennicy. Leonilla była zawsze dosyć samowolną i obstarującą przy swoim, ale razem kapryśną; tej mocy ducha, ani tej siły uczucia, nie domyslała się w niej nauczycielka.

— Otóż, jak to nigdy z dziećmi nie na żart robić nie można! — mówiła zmartwiona, kładąc się do snu. — Osoby dorosłe, rozumne, nie biorą tak zabawki do serca. — Jej nie można wybić z głowy dziecinnej rozrywki, na którą niepowinno być pozwolone. — Nie umiałam się oprzeć.... Także to było zabawne — ta para zakochanych — a teraz!

Wyznać przed sędzią nie podobna było, srodze się nieobwiniając: p. St. Aubin musiała milczeć i przeklinała nieopatrzność własną.

Po długich namysłach, postanowiła chwycić się jeszcze jednego środka: napisała do pana Erazma, zaklinając go, aby biednego dziecięcia nieszczęśliwym nie czynił i sam dobrowolnie wyrzekł się wszelkich stosunków. W liście niezmiernie długim, popłatanym, wykrzykników i nawiasów pełnym, uwiadomiła go razem, że niezmiernie młodziem o pannę się starał, miał rodziców za sobą i, bądźco bądź, Leonilla za niego wyjść musi.

Znając adres wileński pana Erazma, z pierwszej poczty skorzystała Francuzka, aby ten trzyarkusowy list wyprawić. Zdawało się jej, że tem wszelkiemu złemu zaradzi.

Gdy w Warszawie tak groźne zamachy na szczęście dwojga zakochanych knowano, pan Erazm na wygnaniu wileńskim, daleko mniej cierpiał, niż się zrazu na to zanosilo.

Zaczawszy od Kasztelanowej dnia pierwszego, powoli potrafił sobie najnieprzyjaźniej usposobionych pozyskać. Przekonywano się coraz bardziej że szpiegować nie myślał, że pieniędzy nie potrzebował, na spadek nie rachował wcale, a w domu nie zawadzał nikomu.

Wszystkie trzy towarzyszki pani domu, pani Ostrogródzka, panna Eulalia i Olimpia — w kilka dni zgodziły się już na to, że miłym był nadzwyczaj, dobrym, grzecznym, a nadewszystko taki był — ładny!

Jak kobiecie tak mężczyźnie, ten dar boży, piękność znikoma, rzecz na pozór mało znacząca, pogardzana, nieraz w życiu więcej niż rozum pomaga.

Gotowano się go prześladować i wykurzać, a teraz pieszczono i nadskakiwano. Kasztelanowa uśmiechała się do niego, a gdy była w bardzo dobrym humorze, szczypała go za twarz, pociągała za ucho, całowała w czoło — jako stryjenka. Pani Ostrogródzka prześladowała ją tym faworytem. Panny stare, Eulalia i Olimpia, w napilniejszym interesie biegnąc z kluczykami, zakrywały się, gdy się do nich uśmiechnął lub zagadał.

Widząc to, rozumny Płachciewicz konie postawił w dużej stajni, otworzył mu drugi pokój, dbał o jego wygodki — i zmienił się, w najniższego służę.

Cały dwór Kasztelanowej, który Erazm hojnemi dostatkami sobie ujmował, przepadał za nim.

W wiecznych ambasach ze swą korespondencją, interesami, wizytami, pani domu ośmielała się czasem Erazma prosić o pomoc, z którą on przychodził wesoło, obojętnie, zabawiając staruszkę i z nadzwyczajnym pośpiechem ekspedując to, nad czem jejność całe dnie trawiła.

Nie nadużywano go jednak, bo wszyscy to czuli, że młodzieniec potrzebował powietrza, rozrywki, i swobody: Erazm więc bujał sobie po Wilnie, a że u Jezuitów natrafił na dwóch patrów, których tu przeniesiono z Lublina, chadzał do Collegium i tam z dojrzalszą młodzieżą pozawiazywał stosunki. Z nią na Pohulanke, do Zakretu, na Antokol, w okolicy pięknego Wilna robiły się wycieczki.

Erazm nie dręczył się swoją miłością, bo był pewnym i serca sędzianki i swojego.

— Jak Bóg Bogiem, moją być musi — powtarzał.

Korespondencja przez ciocię Blandynę nawet z Warszawy szła, choć spóźniona, nieco szczęśliwie. Odebrawszy list, Erazm go naprzód wycłował, potem czytał i pożerał, odczytywał i na sercu nosił. Miłośne pisma, dopóki trwało uczucie, są to najstraszniejsi podżegacze, działają na serce i na umysł, pali się od nich głowa, goreją piersi.

Jednego dnia trafiło się tak jakoś szczęśliwie, że dwa naraz listy pan Erazm odebrał. Zdziwiło go, że jeden z nich był nieznana mu napisany ręką. Rzucił się naprzód na pierwszy, który był od Leonilli — ale czytając go zesmutniał. Pisała z Warszawy, nietając co ją tam spotkało, jak ją zdradzała St. Aubin, a zapewniając krótko i stanowczo Erazma, że jej nie zmienić i woli jej złamać nie potrafi.

Przypisek był jakiś dziwny, bo czytając go podskoczył Chojski, czytał go razy kilka, zarumienił się, zaczął biegać po pokoju i nierychło potrafił się uspokoić. Zapomniał nawet o drugim liście leżącym na stoliku i nierychło go otworzył. Ten był od P. St. Aubin, jak wiemy, zaklinającej go na wszystko, ażeby się wyrzekł marzeń i nie kusił o to, co było niemożliwym.

Rzucił go z niechęcią.

List Leonilli zajął go nadzwyczajnie, wrócił do przypisku jeszcze i zadumał się mocno.

Nazajutrz Kasztelanowa go wezwała w pomoc do siebie, i znalazła zmierzniętym: — smutnym.

— Co ci to jest?

— Mnie? — nie.

— Jakież ci-tam listy noszą! Słyszę wczoraj dwa odebrales; pewnie co złego?

(Policja w domu Kasztelanowej, przez niewiasty utrzymywana, była doskonałą.)

— Może od ojca? — dodała stryjenka.

— Nie — rzekł krótko Erazm.

— No, to mi się przyznaj — nalegała jejność. — Co będziesz przedemną tajemnicę czynił! Już że to sercowe sprawy, — rzecze. Mogłabym ci dopomódz, słowo daję. Jak widzisz, stara jestem, ale mam liłość nad stałe się kochającymi.

— Stryjenka dobrodziejka, gdyby nawet chciała i była tak łaskawa, dopomódz mi nie może.

— A to dla czego?

— Ojca nic nie potrafi zmienić, a — ojciec będzie przeciwnym, — rzekł, uśmiechając się Erazm.

— Mów-bo mi od A do Z, mów wszystko, co to jest! — zawołała Kasztelanowa — już, choć widzisz jak jestem zajęta, ale wysłucham do końca. Mów!

Zaczęła nalegać stryjenka. Erazm pomyślał — i zwierzył się jej ze wszystkiego.

P. Ostrogródzka z podedrzwii tylko podsłuchiwała.

Dla staruszki ten romans, ta sielanka wpleciona do dramatu waśni sąsiedzkiej — urok miała nadzwyczajny. Słuchała, pytała, uśmiechała się i nasycić się nie mogła.

Z piersi Erazma, gdy mówił, ziało uczucie tak gorące, że Kasztelanowa czuła się niem odżywną, odmłodzoną, przejętą.

Z żywością niezmierną natychmiast zajęła się losem dwojga kochanków. Wypłatanie psikusy panu Strukezaszycowi wchodziło też pewnie w rachunek i sprawiało przyjemność starej damie, bo go nie lubiła.

Aż do obiadu trwała rozmowa, narady, i Erazm wyszedł od stryjenki weselszy, znalazłszy w niej sprzymierzeńca, którego się wcale nie spodziewał.

Kasztelanowa po obiedzie zaraz, mimo najuroczyściej przysiężonej tajemnicy, całą tę historję opowiedziała trzem swym towarzyszkom; wszystkie jednogłośnie głosowały zatem, że nieszczęśliwemu młodzieńcowi należało dopomódz; a nazajutrz z twarzy pani Ostrogródzkiej, panien Eulalii i Olimpi, mógł się domyślić Erazm, że o jego tajemnicy wiedziały.

Kasztelanowa przez kilka dni tak była tą nową sprawą niezmiernie przejęta i zakłopotana, iż dla niej o wszystkim zapomniała.

Czwartego ranka niespodzianie Erazm chłopcu kazał zaprzęgać, upakował się i w pałacu ogłoszono, że Kasztelanowa wysyła synowca na obejrzenie majątku. Jesień już była dosyć późna, ale pora ciepła. Młodzieniec, o ile się to dało zrobić, starannie był na drogę uprowadzany i po tajemnej naradzie z Kasztelanową wyjechał.

Wszystkim po nim było tęskno. Pocieszano się tem, że miał jakoby powrócić. Zaraz że Wilnem chłopak powożący, przekonał się, że do dóbr pod Witebskiem położonych nie jechali: pan Erazm kazał tak zawrócić — jakby do domu. Chłopakowi, który tam także najukochańszą, Parasę, porzucił, do której dwór się cały zalecał, nadzwyczaj to było przyjemnem.

Jednego jesiennego poranku, panna Blandyna miała z suszonemi grzybami do czynienia, gdy obdarty żydek, zagadawszy coś o pierzu, które jakoby życzył sobie nabyć, wetknął jej w rękę karteczkę, dając dziwne jakieś znaki. Strwożona mocno ciocia, zdawszy grzyby chwilowo na pomocnicę, poszła do swojego pokoju, włożyła okulary, stanęła w oknie i cała drżąc czytać zaczęła. List był od pana Erazma. Nie zrozumiała go w początku, potem zbladła, zmówiła parę zdrowasiek, kartkę odczytała jeszcze raz i spaliła nakominku, szczypcami ją poprawiając, ażeby spłonęła do szczytu.

Żydek, który pierza potrzebował znikł wkrótce jak kamfora, a gdy do obiadu wyszła panna Blandyna, tak była zmieniona, iż Strukezaszyc spytał ją o zdrowie.

— Fluksya mnie męczy — odparła krótko.

— Na to niema jak figa w mleku gotowana, — odezwał się stary, wszakżeś mnie asińdzka sama tem wyleczyła.

Pomimo tej fluksyi p. Blandyna naparła się — była to sobota — pojechać na nieszpór do kościoła. Strukezaszyc się oparł; ciocia stała przy swoim.

— A ręce, że z gębą napuchłą powrócisz — dokończył Hojski — ja nie bronie robić głupstwa, ale panu Bogu fluksya asińdzki, ba, i nabożeństwo to, nie na wiele się przydadzą.

Kazano zaprzadzić do bryczki — i ciocia pojechała. W istocie kazała furmanowi stanąć przed bramą kościoła, weszła do niego, wysliznęła się furtką boczną i — bryczka stała tu, choć już było dawno po nieszpórach, niemogąc się doczekać p. Blandyny.

Ciocia tymczasem w małej izdebce w karczmie odbywała jakąś konferencję, z kimś niewiadomym, świeżo tu przybyłym. Słuchać było czasem wzbuchający jej głosik, który natychmiast przyciechał, i jakby płacz i szybka mowa mężka, a gdy mrokiem wyszła panna Blandyna szukać bryczki, chwiała się na nogach. — Powróciwszy do Sierhina, dostała burę ogromną od brata i poszła się skryć do swojego pokoju. Strukezaszyc tryumfował, gdyż fluksya tak się zwiększyła, że ciocia na wieczór wyjść nie mogła i w łóżko się położyła. Minęło dni kilka spokojnie; panna Blandyna wyzdrowiała, lecz choroba zostawiła ślady po sobie. Była jak nieswoja, trwożyło ją każde głośniejsze stuknięcie, turkot, rozmowa żywsza. Wybiegała do sieni, oglądała się oczyma strwożonemi i powracała do swego pokoju.

Jednego dnia nad wieczór zaturkotało; ciocia wybiegła zobaczyć, poznała Kaczora i uspokojona poszła do siebie, gdy w tejże chwili w pokoju Strukezaszyc rozległ się jakby grzmot, jakby wybuch jakiś, jakby śmiech potężny. — Poznała w nim panna Blandyna głos brata, lecz nie mogła pojąć co

mogło go do tak nadzwyczajnego wykrzyku pobudzić.

Drzwi się otwarły i potężnym swym basem Strukezaszyc — zawołał:

— Blandyno!

Biegła już do pokoju.

Tu Kaczor stał u drzwi, czapkę jeszcze w rękę trzymając, a przed nim Strukezaszyc, trzymający się za boki, z ustami otwartymi, z wyrazem takiego osobliwego uszczęśliwienia, jakiego nigdy nie zwykł był okazywać.

— Ale, chodź-że! — posłuchaj! — poczał. — Jak Boga kocham, że tak szczęśliwy jestem, jakby mnie kto na sto koni wsadził! Tylko czy to prawda? — czy prawda?

— Jak Boga kocham! — wszyscy bębnią — słowo panu daję najświętsze! — zawołał Kaczor.

— Słyszałeś! — he? — zapytał Strukezaszyc, zominając, że siostra tylkoco weszła.

— Ja o niczym nie wiem! — Cóż się stało! — odezwała się Blandyna.

— Stała się najprzedziwniejsza rzecz, jaka się stać mogła! — paradna! — przedziwna! — doskonała... *Digitus Dei!* — słyszysz asińdzka!

Temu niezbożnemu Czemyryńskiemu jego córnia, owa lala, co tak z góry patrzała na ludzi, z noclegu w drodze — uciekła!

Panna Blandyna ręce załamała, pobladła i aż się pochyliła, jakby miała osłabnąć.

— Cóż asińdzce jest? — zaśmiał się Strukezaszyc — ot, to wzięłaś do serca! A też-to rozkosz słuchać! Kara Boża na tych pyszałków, kara Boża — ale gadaj, komorniku, jak się to stało? Z kim uciekła, boć sama nie mogła! Jakim sposobem.

— Nikt nie wie, wszyscy jak w rogu! Nikogo tam nie było, z kimby mogła uciec! Niewiedomo jak się to stało, tyle tylko wiem, że nagle im znikła z ostatniego noclegu. Starzy włosy z głowy rwą.

— Pewnie z jakim oficjalistą! — odezwał się Strukezaszyc.

Panna Blandyna, trochę do siebie przyszedłszy, tak jednak była pomieszana, iż brat poczał ją strofować.

— Czegóż-bo zaraz tak do serca brać, że się jedna z waszego bractwa panieńskiego źle popisała! Ochłoń-że już. Ja się raduję, i mam czego, jak Boga kocham, a waćpanna masz minę, jakbyś, na złość mnie, płakać chciała.

Panna Strukezaszanka tyle tylko, że posępniejszą twarz przybrała.

— Ale gadaj, komorniku, co wiesz. Toć ciekawa historia! Jak się to stało? — dołożył Hojski.

— Powiadam panu dobrodziejowi, że ja tyle tylko wiem, iż panny niema. Nikt mi nie więcej powiedzieć nie umiał, głowy wszyscy potracili.

Mówią tylko, że w Warszawie jakiegoś Niemca jej forytowali, którego tak nienawidziła, że z obawy, aby ją za niego nie wydano — drapnęła.

— Znalazłszy towarzysza! — dodał Strukezaszyc. Obejrzał się na siostrę.

— Ale, przyjdź-że asińdzka do siebie! Co-bo takie miny robisz, jakby nas co ta dziewczyna obchodziła! Dobrze im tak! Dobrze — rozgadał się Hojski — wychowywali ją po francuzku, i postąpiła sobie jak Francuzka — bryknęła im z domu!

A ja — rzekł ciszej — i z tego względu Panu Bogu dziękuję, że mnie to wielki kamień z piersi zdjęło.

— Jaki? — spytał komornik.

— Ale, ba, — gładząc się po głowie i jakby zawstydzony, odezwał się Strukezaszyc. Wstyd mi się przyznać. Mam jedynaka, jedyne oko w głowie; z tej troskliwości o niego, to człowiekowi najgłębsze myśli przychodzą. Podpatrzyłem u mego Erazma, kilka cyfer na papierach, wszędzie pisał L. C. — L. C.! — właśnie jakby Leonilla Czemyryńska — a że ją widział u Podkomorzego, przyznaję się, byłem w strachu, żeby się chłopiec nie zadurzył w tej lalce. Młodość jest głupia, a powiem tylko tyle — energicznie konkludował Strukezaszyc — wolałbym syna widzieć na marach, niż u ołtarza z Czemyryńską!

(Dokończenie nastąpi)

ODCZYT PANA TARNOWSKIEGO

o „Panu Tadeuszu.”

W dalszym ciągu rozpoczętego w roku zeszłym wykładu *O początkach poezji romantycznej w Polsce* usłyszeliśmy w roku bieżącym, w szeregu odczytów wygłaszanych w sali Ratuszowej na korzyść Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, rzecz p. Tarnowskiego o *Panu Tadeuszu* Mickiewicza. Wykład ten zajął trzy godziny w dniach 9, 11 i 12 Kwietnia i, podobnie jak poprzednie, choć przy obniżonej już skali zapachu, gorące w publiczności wywołał uznanie. Szanownego prelegenta zaszczycono w końcu jednym, czy nawet dwoma, wieńcami, w których doręczeniu pośredniczył Ant. Edw. Odyniec. Istotnie, jeżeli nie za prelekcję, to za trudności tkwiące w samym jej przedmiocie, za usiłowanie przezwyciężenia ich i wytworzenia jakotako zaokrąglonej całości, należał się p. Tarnowskiemu wieniec—cierniowy nawet, tak wielkie były zapory. Szanowny prelegent raczej je omijał niż przełamywał, a ta urywkowość, jaka zapanować musiała w treści, odbiła się też i w formie wykładu, który daleko za sobą pozostawił dwa odczyty poprzednie: jeden o Fredrze, drugi o Mickiewiczu i poczynającym się przezeń romantyzmie. Rzecz o komediach Fredry z przed lat dwóch, ma niepoślednią literacko-krytyczną wartość; myśli wypowiedziane w roku zeszłym o pierwszych dziełach Mickiewicza nie były bez takiej również wartości: ale to, cośmy w r. b. usłyszeli, skutkiem właśnie trudności tkwiących w przedmiocie, wobec warunków zewnętrznych, przedstawia się jako luźna tylko pogadanka. Nietylko tu żadnej skończonej budowy nie widać, ale nawet ten materiał, jakiego użyć było można, należyte uporządkowanie i spożytkowanie nie został. Myślom p. Tarnowskiego brakło niezbędnego ordynku—powiedzielibyśmy, że je nagle zaskoczył i rozproszył jakiś nieprzewidywany zrazu wypadek; rzecz nie płynęła, ale się z mozołem przedzierała; pełno było powtarzań się i poprawian i brak systematu taki, iż czynności krytyczne pierwszej godziny wykładu, powtarzały się co do jednych i tych samych faktów, (Charakterystyka osób: Pan Tadeusz i Telimena; wyższość *Pana Tadeusza* nad eposy nowożytnych literatur cudzoziemskich; jego stawianie do miary z *Iliadą* i *Odysseją* i t. d.) w godzinach następnych.

Możebyśmy mniej wymagającymi byli, gdyby najnowsza literatura nasza nie przyniosła nam była przed pięciu laty znakomitego rozbioru poematu Mickiewicza, rozbioru, pełnego głębokich uwag i przeprowadzonego z taką wielostronnością, z takim doskonałym zmysłem krytycznym, że dziwić się nie można p. Sowińskiemu, iż zrzekając się samodzielnego sądu, przyjął wyrok obcy a wytrawny i w całości go prawie w swym *Rysie literatury* w tomie III przedrukował. Panu Tarnowskiemu nie możemy mieć za złe, że chciał pozostać sobą; żałujemy tylko, że pracę swego poprzednika, jak gdyby zupełnie na bok odsunął. Chociażby był wziął z niej samą tylko systematykę, nie byłby tem dzieła swego skrzywdził.

Po ogólnym wstępie poświęconym naszej poezji romantycznej, po przypomnieniu czasu napisania *Pana Tadeusza*, po określeniu warunków zewnętrznych i wewnętrznych, jakie musi mieć dla siebie epos w literaturze danego społeczeństwa i w twórczości danego poety, po przyłożeniu tych warunków do znakomitszych utworów epickich literatury powszechnej, dla wyprowadzenia ztąd wyższości *Pana Tadeusza*—prelegent zastanawiał się nad kunsztowną budową poematu, w której wymiarach wszystkich panuje doskonała harmonia, a w kształtach symetria i artystyczne piękno. Przypomniawszy samą inwokacyą wstępną—tyle uroku posiadającą. Rozpatrzył zwięźle charakter: Robaka, Tadeusza, Telimeny, Hrabiego, Zosi, Sędziego, Gerwazego i Protagazę, po nich w większej jeszcze zwięźłości Wojskiego, Assessora, Regenta, Podkomorzego. Najbardziej szczegółowo, najdokładniej rozebrał charakter Telimeny. Piękne było zestawienie myśli

zasadniczej Robaka z dołą społeczeństwa. Przekonywanie silne o wyższości Sędziego nad Wojskiego i innych, wydało się nam zbyt czułym: każdy kto czytał poemat, wyższość tę w pierwszych zaraz pieśniach dostrzegł. Piękności krajobrazowe poematu znalazły w p. Tarnowskim wymownego rzeczownika. W końcu prelegent, wracając się jeszcze do porównania *Pana Tadeusza* z innymi eposami, wymienił te pieśni poematu, które za najpiękniejsze uważa, są to mianowicie, jeśliśmy dobrze zapamiętali, księga IV, VII, części IX i X i XII. See-nę Robaka z Klucznikiem postawił bardzo wysoko: nie równego jej nie widzi, nietylko w naszej poezji, ale wśród bardziej znanych utworów poetycznych wszech narodów.

Pierwsze utwory Mickiewicza oznaczały zaranie poezji romantycznej u nas; *Pan Tadeusz*, zdaniem p. Tarnowskiego, oznacza już jej południe. Zgoda, jeżeli idzie o mistrzostwo, ale ściśle biorąc to „poema sielskie“, do którego napisania z taką skromnością zabierał się poeta, a które napisał, niewiedząc jak wielkie arcydzieło stworzył, — wychodzi już z kolei tego romantyzmu, który sam Mickiewicz rozżarzył u nas, odskakuje duchowym nastrojem swoim, i od własnych Mickiewicza utworów, i od wszystkich współczesnych sobie czynów ducha poetyckiego. Jeżeli zechcemy się dobrze zastanowić, to południa poezji romantycznej gdzieś indziej, nie w *Panu Tadeuszu* szukać będziemy musieli: to słońce, które Mickiewicz rozpałił, a które największym u niego zajaśniało blaskiem w *Impro-wizacji Konrada* ma swoje południe w *Irydyonie* Krasińskiego i w *Słowackim*. *Pan Tadeusz* stoi odrębnie od innych arcydzieł naszej literatury: wprawdzie z romantyzmu wyszedł, ale w dziełowym jego pochodzie nie przedstawia się jako utwór posiadający wspólną z innymi, jednorodną, przyczynę twórczą. W innych wrze walka, w nim widać ukojenie. Jedną w nim tylko boleść panuje: tęsknota. Samo genetyczne sąsiedztwo z innymi dziełami Mickiewicza, naprowadzić już może na ślad rzeczywistego charakteru, jaki stwierdzić należy w natchnieniu twórczym do *Pana Tadeusza*. Duch znudzony długim boowaniem o ideały i doszedłszy do szczytu cierpienia, zapragnął wypoczynku i takim właśnie wypoczynkiem było dlań owo „poema sielskie“. Subiektywności w niem wcale niema; występuje tylko życie ogólne, odmalowane tak mistrzowsko, że możemy bez zarzumułości narodowej przyznać pocie naszemu jako twórcy eposu wyższość nad wszystkimi poetów nowożytnych. *Herman i Dorota* choć z pod pióra mistrza wyszedł — przez małość swoją jednak i naiwność z *Panem Tadeuszem* mierzyć się nawet nie może. Inne eposy, przytaczane przez pana Tarnowskiego, posiadają wadę bądź sztywności, bądź też zbytniego idealizmu i fantastyczności. — Uznana jest doskonałość *Iliady* i *Odyssei*. Do ostatniego z tych poematów, ze względu na zawarte w nim obrazy, bardziej się *Pan Tadeusz* zbliża, niż do pierwszego, który przez samą hierarchiczną wyższość swych wydarzeń nad utworem naszego poety górować-by musiał; ale nie wiemy czy zupełnie bezzasadnym byłoby zestawienie ze sobą dwóch potęg poetyckich, które wydały oba utwory. Postaci tak zajmującej jak Robak niema w całej *Iliadzie*, a w malowaniu natury — które malowidło greckie przeświaga ten obraz puszczy litewskiej, w księdze IV, z którego chyba Grotger czerpać musiał dla siebie natchnienie!

Mówiąc o eposach literatur obcych nie mógł pan Tarnowski pominąć i *Raju utraconego* Milona. Geniusz tego myśliciela XVII w. wydał mu się tak wysokim, że na wspomnienie jego prelegent wypowiedział mniemanie, jakoby geniusz Mickiewicza nie był pewno wyższym od Miltonowskiego. Otóż, nie szukając sprzeczki, pozwolimy sobie wątpić o tem, czy nawet Macaulay, zapalony wielbiciel Milona, człowiek, który mawiał o sobie, że gdyby *Raj* zaginął, on odtworzyłby go z pamięci, i rzeczywiście cały na pamięć umiał — czy Macaulay nawet — powtarzamy — gdyby znał Mickiewicza, poważałby się powiedzieć, że Milton, jako *geniusz poetycki*, dorównywa Adamowi? — Inną jeszcze uwagę nasuwa nam tu pobieżny rzut oka na eposy, które poprzedziły *Pana Tadeusza*. Wzmianka o *Wojnie Chocimskiej* Potockiego nie stała na wysokości rzeczywistych i wielkich zalet tego poe-

matu, a wręcz już błędem było zaliczenie jego wstępu do całej gromady klasycznych inwokacyj, które od starożytności przejęto. Należało właśnie uczynić wyjątek dla wspaniałego wezwania do Boga, rozpoczynającego najznakomitszy utwór naszej literatury poetycznej XVII w.

Poemat swój zaczął pisać Mickiewicz w r. 1832. Trzecia część *Dziadów* była już wtedy napisaną i wydaną. Pod d. 8 Grudnia donosi poeta z Paryża Odyńcowi: „Piszę teraz poema szlacheckie w rodzaju *Herman i Dorota* (Goethego); już ukropłem tysiąc wierszy. Podobają się bardzo szlachcie tutejszej“. Dnia 12 Stycznia 1833 r. zawiadamia Stefana Garczyńskiego, którego miał we Wrześniu tego roku pochować: „Piszę powoli poema sielskie; mam już prawie całe dwie wielkie pieśni; jak przepiszę brulion, poszłę wam; Odynieć umie decyfrować“. Do tegoż, w dzień świąt, w Kwietniu: „*Giaura* „szelme“ i nudnika skończyłem; zjadł mi więcej miesiąca. Wracam do *Szlachecka* i piszę czasem do dalszych *Dziadów*“. W tym samym miesiącu — do Odyńca: „Wróciłem dzisiaj do wiejskiego poematu, który jest na dzisiaj moim pieśczonek dzieckiem i który pisząc, zdaje się, że w Litwie siedzę. Gdyby nie *Giaur*, już-bym go może skończył. Dosyć powoli, ale ciągle idzie... Wiele bardzo mam różnych zamiarów, ale je wszystkie odpędzam, nim *Tadeusza* skończę“. Tu poraz pierwszy występuje tytuł poematu, który w owym czasie miał się składać tylko z ośmiu ksiąg. D. 6 Maja 1833 r. znowu do Garczyńskiego: „Skończyłem trzecią pieśń *Tadeusza*. Znosi się na długą *chryję*: dotąd dosyć dobrze udaje się; gdyby nietyle przeszkód, gdyby jeden tydzień przeszłorocznej ciszy!“ D. 23 Maja posyła Odyńcowi następujące znowu zwierzenie: „Robię dosyć wiele; oprócz różnych postronnych mimo-jazdowych pisań, *kropię* moje poema, którego pieśń czwartą dziś kończę. Żyję tedy na Litwie, w lasach, karczmach, ze szlachtą, żydami etc.“; a w d. 9 Lipca, z Bex, w Szwajcaryi, dokąd dla opieki nad dogorywającym Garczyńskim był wyjechał: „Podróż moja... pomieszała mi szyki w interesach i prze-wrała moje roboty. *Tadeusza* dotąd nie skończyłem! Na nieszczęście nie wiem czy tu będę miał humor śpiewać dalej. Wszakże mam już trzy czwarte poematu najdłuższego, jaki napisałem“. Ciągłe wtedy jeszcze myślał tylko o ośmiu pieśniach. Dnia 2 Sierpnia nie ma jeszcze przepisanej pieśni czwartej. W dziesięć dni później pisze do Domejki z Genewy: „Dobrze byłoby, gdyby Jełowicki (księgarz w Paryżu) kazał kilka zrobić szkiców do *Tadeusza*, mógłbyś teraz podać na to kilka myśli z pieśni, które masz u siebie, reszta później. Re-kopismu pilnuj, bo to jedyny egzemplarz, brulionu nie mam“. Wróciwszy do Paryża donosi Odyńcowi dnia 13 Listopada 1833 r.: „Piątą pieśń *Tadeusza* skończyłem, trzy jeszcze zostaje“. Tak upłynął rok 1833. W Lutym następnego roku otrzymał wreszcie Odynieć zawiadomienie o ukończeniu poematu: „.....To tylko dzieło warte czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć. Możeby i *Tadeusza* zaniechał, ale już był bliżki końca. Więc skończyłem wczoraj właśnie. Pieśni ogromnych dwanaście! Będziesz czytał. Za parę tygodni druk zaczynam. Mnóstwo pracy w przepisywaniu. Co tam najlepsze, to obrazki, z natury kreślone, naszego kraju i naszych obyczajów domowych. Ledwie skończył, bo mnie już duch porwał do dalszych części *Dziadów*, których kawałki oderwane mimojazdem pisałem. Z *Dziadów* chcę zrobić jedyne dzieło moje warte czytania, jeśli Bóg dozwoli skończyć“. Bóg skończył nie dozwolił tak, jak chciał poeta; piśmiennictwo nasze nie otrzymało poematu, który mógł poważną, życiowo-filozoficzną treścią swoją dorównać *Faustowi*, a nawet go przewyższyć. *Pan Tadeusz* jest ostatniem dziełem geniuszu Mickiewicza, jeżeli pominiemy pierwszą część *Dziadów* i *Ode łacińską* *In Bormarsundum captum*. W *Dziadach* umiera Gustaw, rodzi się Konrad; w *Tadeuszu* już i ten ostatni nie żyje: pozostał tylko biedny rozbitek, tęskniący „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem“. Poeta umiera wraz z ostatniem słowem swej pieśni szlacheckiej; człowieka — los przerzuca gwałtownie od rydwanu Apolina do taczki życia.

Sam już prelegent przytoczył w swym odczycie kilka ustępów z korespondencji, odnoszących się



Anioł i święte niewiasty.

do czasu, w którym powstał *Fan Tadeusz*. Uzupełniłmy pracę pana Tarnowskiego nie dla tego, aby pełną była, ale dlatego, ażeby się z niej człowiek przed oczy czytelnika wyłonił — człowiek niezmiernie skromny i zarozumiałości żadnej, prócz jednej szlachetnej *zarozumiałości przekonania* nie posiadający. Nie był on skromnym aż do niedołęzstwa; wiedział co może; i sam tego nie sądził, i światu tego nie wmawiał, jakoby był prochem tylko lichym: ale posiadał we wszystkim balans obiektywności, który mu nigdy w sobie samym zatonać nie pozwalał. Wiedział, że są wyższe cierpienia nad jego własne, że były i są wyższe myśli i że mogą być pieśni wyższe. Ten styl, z wyrażen: „ukropiłem, chryja, szlachcie“ złożony, — jakże jest czeigodnym, gdy go na tło miłości własnej od natury ludzkiej nieodłącznej, rzucimy! Jakież przykłada dla poetów, dla ludzi piszących wogóle, którzy silniej od ludzi innych wydziałów pracy społecznej ulegają pokusie samochwalstwa i samozadowolenia! Iluż-to poetów — do kolan nawet Mickiewiczowi nie dorastających — chwali dzieła swoje przed ich powstaniem, podczas powstawania i po powstaniu; chwali zrana, w południe i wieczorem; zaczepia niemal przechodniów na ulicy — aby i ci, broń Boże, nie mieli ich za zwyczajnych śmiertelników! Mickiewicz — według świadectwa ludzi, którzy z nim nie trzymali i nawet nieprzyjaciółmi mu byli — nie lubiał nigdy rozmawiać o swoich dziełach, a jeśli już od rozmowy uchylać się nie mógł i pochwał ludzkich słuchać musiał, zachowywał się prawdziwie jak na mędrca przystało: uważał, że talent nie jest zasługą i często mawiał, iż pisząc poezję swoje był tylko jedwabnikiem snującym przedzę, której sam nie stworzył. Nie pracował on na nieśmiertelność jak Słowacki; nie „miał zamiaru, szturmem dzieł dobywać sławy“ (*Listy do Matki*; I, 61); nie przysięgał nikomu, że będzie nieśmiertelnym: nieśmiertelność sama do niego przysłała, drogą uformowaną przez najszczerze, najgłębiej ludzką, najrozleglejsze pięknotwórstwo wierszopisowe — jakim szczyt się literatura nasza. Jedwabnik wysnuł swoje i ustał, i nie śpiewał już potem dla honoru samego tylko, — dlatego, że śpiewał niegdyś. Nie był jak Goethe lub Wiktor Hugo, którym późna starość lutni z rąk nie wytraciła. Geniusz jego przeszedł kolej formacji wulkanicznej, i po skończeniu się wybuchów ustała jego działalność. Nie pojmował jakim sposobem wiersze na starość pisać można, i po r. 1852 na parę lat przed śmiercią, kiedy już był bibliotekarzem w Bibliotece Arsenału (zniszczonej przez Komunię paryską w r. 1871), powiedział do jednego ze znajomych swoich: „Robić wiersze na starość traci śmiesznością. Cóż-byś o mnie pomyślał, gdybym dziś na moje stare lata wziął się do rymowania sonetów; wniemam, żeby mi przebaczone, ale tylko przez wzgląd na to, iż będąc młodym pisałem wiersze“ (*Fontille*). S. K.

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

State płótna, stare dzieje. — Sztuka pierwotna chrześcijańska. — Fra Angelico. — Jego postacie i obrazy. — Ich charakter. — Fra Angelico we Florencji. — Studya nad jego dziełami. — Naśladowania ich. — Kopie i karykatury. — Ilość dzieł mistrza. — Galeria Akademii sztuk pięknych, porównanie dawnych z nowymi. — Rafael. — Nic nie wraca. — Skarby sztuki we Włoszech. — Moda i sztuka. — Włochy i Fiaming. — Handel dziełami artystycznymi. — Powolność Włochów. — Targ włoski. — Wywożenie dzieł sztuki za granicę. — Falszowane antyki. — Sztuka i sztuczki. — Figle antykwarskie. — Nowe dzieło Tissota: *Wiedza i życie Wiedzących*. — Ogólny charakter książki: Austria w bieli. — Niezręczni pochlebecy. — Wrażenie książki. — Treść jej — Wenecja. — Tryest — Miramare. — Hrabia Chambord, wizerunek. — Sacher-Masoch. — Obraz Wiednia. — Szkice Tissota. — Dziennikarstwo. — Wiosna nad Arno. — Chłody i wichry. — Galerye i biblioteki. — Zbiory ksiąg we Włoszech.

Spójrzcie, proszę, na to stare płótno o dnie złocistym, na którym jak sen lekki, powietrzne, przejrzyste stoją postacie, w bieli, w turkusowo-niebie-

skich i różanych szatach, anioły z tęczowymi skrzydłami, cały świat istot jakichś idealnych, cudnie pięknych, z dziecinną naiwnością malowanych.

Pokłonmy się ich genialnemu twórcy Bratu Aniołowi z Fiesole, którego obraz każdy zdaje się malowaną i stężoną modlitwą. Święty ten nieuczek miał tylko natchnienie, malował sny swe i ekstazy pobożne i tworzył prawdziwe arcydzieła. Wielcy znawcy bez serca powiedzą nam, że brat Anioł źle rysował, że malować nie umiał, że nie znał anatomii i nauki światła i cieni: tak, wszystko to prawda, ale w malarstwie chrześcijańskim, u jego kolebki, która była razem jego najświetniejszą epoką, ani nawet Peruginowski uczeń, Rafael, nie stworzył nic cudniejszego nad pokornego owego nieuczka z Fiesole, który nim wziął za pendzel, rozplątywał się we łzach ascetycznej modlitwy.

We Florencji tylko poznać można tego malarza, który nie miał mistrza i uczniów po sobie nie zostawił. Tu go pełno, począwszy od klasztoru S. Marka aż do Uffizyów. Galeria Akademii sztuk pięknych ma jego może najpiękniejsze utwory, kilka zbiorów prywatnych także się niemi poszczycić może. W innych galeryach europejskich (wyjąwszy Berlińską) są albo podejrzone bardzo, albo niema wcale Fra-Angelików.

Tymczasem studjum nad dziełami tego mistrza nietylko jest zajmującym dla historyka sztuki i malarza, ale dla psychologa. Świadczy ono o potężnym natchnieniu, która łamie wszystkie przeszkody i uraga wszystkim warunkom, jakim twórczość ludzka w pospolitym swym stanie ulega. Fra Angelico wyrazem swych figur, charakterem, jaki im nadaje, nie pozwala się nikomu prześcignąć, jest jedyny. Jego *Aniołowie w raju*, jego *Niewiasty u grobu*, jego *Święci około tronu Królowej Nieba* — wprawiają w zdumienie, w zachwyt największych mistrzów.

Widzieliśmy całą Overbeckowską szkołę niemiecką; wyrosła ona z naśladownictwa głównie mistrza tego i kilku, co się do niego zbliżają.

Sztuka chrześcijańska rozpowijająca się z martwego byzantynizmu, ma wprawdzie wielu znakomitych mistrzów, pełnych wdzięku, prostoty i naiwności, ale żaden nie dorównał w niej idealizmem Fra-Angelico.

To też tu, we Florencji, pobożny braciszek dominikański jest przedmiotem czci największej, albo raczej — powiedzmy to po cichu i rumieniąc się — przedmiotem spekulacji niezdolnej. U każdego fabrykanta ram złożonych, we wszystkich oknach handlarzy pseudo-artystycznych przedmiotów Fra Angelika kopie „Anioły Muzykanci, Bogarodzica“, epizody z raju i niebios są powystawiane secinami. Wszystko to na świetnym tle złotem wydaje się bardzo oryginalnie, ale dosyć się wpatrzeć bliżej w te powtórzenia, aby ich nie brać do ręki. Na oko ma to pozór kopii, w istocie jest karykaturą. Natchnienie się na zimno odśpiewać nie daje.

Z tych pierwszych mistrzów sztuki chrześcijańskiej, która po Rafaelu i Michale Aniele coraz bardziej pogańską i światową się staje, przechodzi w manierę, a traci wyraz i charakter, Fra Angelico jest najcudowniejszym zjawiskiem. Liczba jego dzieł pobożnych, licząc w to freski rzymskiej kaplicy S. Wawrzyńca, jest ogromna — a ileż to miniatur po rękopismach — ani się widzi ni spisuje.

W Galeryi Akademii na dole w dwóch salach zgromadzeni są mistrze pierwotni. Na pierwszy rzut oka nie czynią oni wrażenia, wielu zadaniom sztuki wcale odpowiadać nie myśleli i nie starali się; po wpatreniu się w nich jednak uderza niezrównany wyraz, wdzięk dziecinny i coś promieniającego duchem.

Gdy potem przejdzie się po nużących wschodach na górne piętro do galeryi malarzy współczesnych, mimo jej blasku, jaskrawości, pompy, z jaką występuje, zdaje się, że się weszło do lodowni — mróz przechodzi.

Wszystko to błyszczy a nie mówi nic, jest napuszone a biedne; nad wyraz wszelki. Ostatnim z tych malarzy wdzięku, prostoty, uczucia jest Rafael, dopóki nie stracił tego, co zdobył na Peruginie. Od medyolańskiego „Spasalizio“ do „Przemienienia“, zdaje się, że przeżył wieki. Mistrzem jest zawsze, ale na ostatnim szczeblu doskonałości, ja-

ką osiągnął, kończy się z nim prawdziwa sztuka chrześcijańska.

Ci, co by ją dziś sztucznie wskrzesić chcieli — niestety, dowodzą tylko, że twórczego ducha nie mają. Nie powraca nic, nie powstaje z martwych, co umarło. Tak samo sztuka grecka odrzodzić się nie może pod dłutem Canovy i Thorwaldsena, jak Fra Angelico pod pendzlem Overbecka, Führicha, Veit'a i innych.

Ta epoka tak ciekawa, którą rozpoczynają Cimabue i Giotto, tylko we Włoszech, a szczególnie we Florencji studyowaną być może. Są tu jeszcze niezarejestrowane i nieznanne skarby, ukryte po kątach. A właśnie dziś, gdy szczęściem moda się rzuciła na Flamandów i Niemców, gdy włoskie dzieła sztuki spadły z ceny, akademie, galerye i zbiory prywatne mogłyby tu nader cenne, a stosunkowo niedrogie, porobić nabytki.

Moda i sztuka! — są to, zdaje się, dwa wyrazy i dwa pojęcia niemające z sobą związku. Tymczasem i tu panuje wszechwładna kapryśnica. W Hôtel Drouot, w Paryżu, na targach w Londynie, na dzieła nawet bardzo znakomite kunsztu włoskiego nikt nie patrzy; lada Van der Meer lub Hobbema gasi nawet Leonardów i Sartów. Nie zaprzeczamy im wartości, ale fantazja gra w tem rolę zbyt wielką. Jest rzeczą niezawodną, że po pewnym przeciągu czasu moda, znużona swym obyczajem, zwróci się znowu albo ku Hiszpanii albo ku Włochom. Z czasu należałoby korzystać; ale dla kogoż ta boska sztuka, o której się tyle mówi i pisze, jest istotnie sprawą serca i zadaniem wielkiem życia? Może dla kilku tylko artystów.

Florencja jest wielką targowicą dzieł kunsztu. Jak zawsze na targowicy zły i dobry towar obfituje, nie zbywa i na fałszowanych produktach, a jednak w tych massach poklasztornych i popałowanych galeryj znajdują się rzeczy przepyszne i oryginalne. Antykwaryusze uskarżają się, że handel nie idzie, latami całymi nie sprzedaje się nic prawie — pomimo to cierpliwi Włosi grają w ten handel tak, jak grają w loteryę. A nuż jaki książę San Donato zapłaci za kawałek płótna sto tysięcy! I to się trafiało. Tymczasem żyje się chlebem, trochę winą i sera.

Włosi mają cierpliwość wielką i nigdzie *festina lente* nie jest silniej ugruntowanym prawem. Wszystko tu się robi — powoli. Czas nie wchodzi w rachunek.

Zrana o dziesiątej samego gospodarza niema w sklepie, o dwunastej już wyszedł na śniadanie, a o piątej wyruszył na obiad i nie wróci. W niebytności jego kilkoletnia dziewczynka, albo podrostek chłopak siedzą sobie — ot tak, bo sklepu zamknięcie nie wypada, ale sprzedać nie umieją i nie mogą.

W sklepie artystycznym znajduje się wszystko: starożytne meble nowiuteńkie, od których jeszcze politurę słyszeć, obrazy najrozmaitsze, brzozy, majoliki, koronki, sztychy, miniatury, szkło, porcelana. Ceny stawia się bardzo wysokie, ale nie jest rzadkością nabyć za pięć, co było cenione trzydzieści. Trzeba tylko mieć czas powrócić piętnaście razy, między jedzeniem a drugimi odwiedzinami zostawiając przeciąg czasu jaknajdłuższy! Podróżny, który nie ma czasu, przypłaca pieniędzmi. Włoch umie czekać i gra obojętność największą.

Wyprowadzanie dzieł sztuki za granicę królestwa podlega pewnej formalności; rząd może wzbronić wywieżenia arcydzieła, sobie zostawiając pierwszeństwo w nabyciu go, z prawa tego jednak nigdy nie korzysta.

Z powodu sprzedaży Madonny Rafaela, należącej do rodziny Conestabile we Florencji, znanej pod nazwaniem: *Madonna del Libro*, rozprawy były nadzwyczaj żywe. Obliczono ile dzieł Rafaela już wyszło za granicę, ile ich pozostało jeszcze; ale Włochy obciążone długami, nie mogą ponosić ofiar dla zatrzymywania u siebie arcydzieł sztuki, wychodzą też one massami do Anglii, Ameryki, Rosyi i t. p.

Wspominaliśmy kilkakrotnie o fałszerstwie obrazów, rzeźb, sprzętów i t. p. Rzecz to ciekawa za prawdę i, gdy się nie z rąk prywatnych coś kupuje, ale u antykwaryuszów, potrzeba być bardzo ostrożnym. Na starej desce, na płótnie dawnem bez wartości, dobry artysta robi z wielkim staraniem kopię z jakąś odmianą z dzieła znanego mistrza, w jego manierze. Wszystko, aż do siateczki

spekanych farb naśladuje się wybornie, kopei, zezernia, nadaje pozór starości, i dzieło oszukuje nawet znawców.

Nie oszuka tylko techników i artystów prawdziwych, którzy w niedostrzeżonych szczegółach fałsz odkryć umięją.

Widzieliśmy dzieła jawnie podrobione z taką sztuką i mistrzostwem, iż je podziwiać było potrzebą.

W wielu obrazach znaczna ich część jest istotnie oryginalna i stara, reszta, po zniszczeniu jakimś przemalowana i dodana. Rzeczywisty znawca po rodzaju drzewa, na którym malowano i charakterze obrazu albo mu odpowiadającym albo nie, po rozterciu farb, po ich nałożeniu, po pociągach pendzla—pozna podrobienie.

Polowanie na łatwowiernego „forestiera“ odbywa się bardzo zręcznie. Handlarze wiedzą już, iż nie obudzają zaufania. Po przejrzaniu magazynu, gdy podróżny nie w nim nie znalazł, gospodarz zbliża się z miną tajemniczą i zwierza się pod sekretem, że niedaleko stąd, w pewnym klasztorze, którego nazwiska wyjawić nie ma prawa, ale do którego mógłby służyć za przewodnika, jest pewna ilość obrazów, przez mnichów w czasie kassaty schowanych... Obrazów tych, wielce starożytnych, jeszcze żadne oko profana nie oglądało; nikomu ich nie pokazywano. Rzeczy są bardzo szacowne. Na taki lep bierze się łatwowierny a cheiwy amator. Nazajutrz, antykwaryusz z wielu szepoty i trudnościami wprowadza podróżnego za klawurę na trzecie piętro, do celki pod dachem. Tu—stoją wielce zniszczone trecentysty, które wczoraj na ten cel przeniesiono z magazynu. Pocziwy jakiś frater, rumieniąc się i jękając, służy za kompera, i—jeśli amator nie zna a wszystkiemu wierzy,—może kupić za trzysta, co w istocie pięćdziesięciu nie jest warte.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

(Dokończenie).

Pana *Felixa Sympniewskiego* „Stanisław August i Kuźma“ odtwarza znajomą historyczną scenę oswobodzenia króla porwanego przez konfederatów. Na odgłos zbliżających się wybawicieli zerwał się król ze stołka, ale tłumi swoje uczucia, w obawie rozpaczliwej zemsty stojącego obok zbrojnego konfederata. Walkę tę wewnętrzną uwydatnia wyraz twarzy i konwulsyjne oparcie prawej ręki na poręcz krzesła; postawa strażnika przy królu nie jest jednak jasno upowodowana, przez co i postać króla niedobrze się definiuje. Ostatecznie tylko widzimy pewne zmieszanie się i przymus w tej postaci, mogące zarówno pochodzić z fizycznych cierpień, jak i z wstrząśnięć moralnych. Zmałe rozmiary obrazu przyczyniają się też do złego efektu. W mundurze, wstędze i w kapeluszu Stanisław August wygląda jak figurka z jasełek, a rysunek szkicowy koloryt mętny nie uwydatnia stanu duszy króla w tym ważnym momencie. Rodzaj historyczny konieczne większego wymaga formatu. Widzimy też na sąsiednim obrazie pana *Alchimowicza Kazimierza* ile rozmiar dodaje powagi kompozycji — rozumie się przy innych zaletach. W cieniastej dąbrowie Lizdejko, najwyższy kapłan Perkuna, poważnej twarzy, w białej szacie, oparłszy się o ruinę zburzonej świątyni, z boleścią spogląda na sprawione zniszczenie; u nóg siadła mu córka i smętną twarzą podniosła do góry; obok trupa leży; w głębi za nimi stoi kapłan z przewiazaną głową... *Sunt lacrimae rerum*. Zburzona świątynia, kapłani pobici: to treść ogólna, ludzka, każdym sercem wstrząsająca; a treść ta, jak przynależy sztuce, wcielona w czas i miejsce. Idealne traktowanie przedmiotu odpowiada tu idei panującej w obrazie; realizm wszystkich zepsuł, bo starając się ściśle i drobniogowo przedstawić jeden wypadek w danych warunkach i okolicznościach, zaćmiłby myśl ogólną, filozofi-

czną i poetyczną, o którą właśnie artyście chodzilo. W utworze pana *Alchimowicza* powaga zgębnionego żalem starca, idealna piękność dziewczęcia, ciemna zieleń lasu dębowego—w zupełnej są z sobą harmonii i silne też na patrzących sprawiają wrażenie.

Znacznych także rozmiarów i harmonijnego choć silnego kolorytu jest obraz pana *Gramatyki* pod tytułem: „S. Wojciech uczy pieśni Bogarodzica“. Mnóstwo tu widzimy nagromadzonych postaci. Tło stanowią mury kościoła i drewniane bramy tryumfalne, wieńcami kwiatów i liści poobwijane. Ładne to ramki dla ludzkich postaci na dole, a silny koloryt kwiatów, pozwala i ludzi i ich draperie żywszymi stroić barwami. Samej kompozycji jednak pochwalić nie możemy. Biskup, w kościelnych szatach, mianowicie nie takich, jakie są teraz i jakie wówczas były w użyciu, siedzi z rozwartą księgą na kolanach; obok niego i za nim kilku duchownych, i grupy ludu, mężczyzn, kobiet i dzieci, stojące i siedzące, w różnych malowniczych pozach. Nie zdaje się prawdopodobnym, iżby sam arcybiskup uczył lud śpiewu i ażeby do tego występował *in pontificalibus*. Charakterystyka jego osoby i ubioru nie zgadza się z tradycją, a główny przedmiot tej kompozycji, śpiewanie, złym jest dla obrazu tematem, bo nie da się malować. Sam artysta czuł widać niewłaściwość przedstawienia wszystkich zebranych tam postaci z otwartymi do śpiewu ustami; uniknął śmieszności, ale też pozbawił obraz jedynej odpowiadającej zadaniu charakterystyki.

Widocznym już jest, że w Matejce nietylko genialnego artystę uznać należy, ale i zdolnego przewodnika szkoły, co nie każdego geniuszu jest zależą. Od czasu do czasu pojawiające się produkuje jego uczniów, nie są pospolitemi próbami, zapowiadającymi talent, ale noszą cechy wysoko już posuniętego artysty. Niedawno jeszcze powszechne w Warszawie, a jak słychać i gdzieindziej, znalazła uznanie p. *Wyczółkowskiego* „Maryna Mniszchówna“; teraz niemińsze sprawia wrażenie przybyły na Wystawę wielkich rozmiarów obraz p. *Witolda Pruszkowskiego* pod tytułem: „Rusałki“. Poprawny rysunek, soczysty i harmonijny koloryt: to są rzeczy, które w pewnym stopniu przejąć od mistrza może pilny uczeń; nie tak się ma z kompozycją: źródłem jej twórczość, a twórczość obudzić tylko może nauka, ale jej nie stworzy. Otóż przyjemnie nam było napotkać cechy twórczości, oryginalności w temacie tak utartym, tylokrotnie traktowanym. Pan Pruszkowski wbrew rutynie przyodział swoje rusałki, a te nietylko nie straciły, ale owszem, wiele zyskały na swojej czarownej piękności. Kompozycją bardzo prosta. Na tle gęstego, ciemno-zielonego szuwara i wikliny, przerażającej wysoko ponad ich głowy, widzimy dwie w fantastycznych pozach rusałki. Czarno-brewy, typu naszych wiejskich dziewcząt, postacie, ubrane są także po wiejsku, w białe, z wyszywaniami na ramiennikami koszule, kilimkowe spódnice i wstążki na głowie i na szyi. Ani na chwilę jednak patrzącemu na myśl nie przyjdzie, że to są proste wiejskie dziewczęta. Rozszerzone żrenice, brwi podniesione, fantastyczny zalotny uśmiech na twarzy, hasająca postawa, prawie na powietrzu wznosząca się wśród zarośli i lekki zielony blask, jaki w koło nich rozświeca zielsko, stanowczo cechują nadziemskie istoty. Jedna z nich, siadłszy na przełamanej łodydze sitowia i chwyciwszy z dwóch stron za stojące łodygi, buja się szalenie; u stóp jej leży, twarzą na dół, wpół w wodzie, trup zwiedzionego, załechtanego na śmierć młodziana. Druga poza nią, podniósłszy obie ręce do góry i przechyliwszy głowę w tył, z chichotem wabi stojącego opodal za wierzbą, lekko tylko naszkicowanego młodzieńca. Trzeciej siedzącej w sitowiu, nieodzianej białe tylko błyska ramię. Wielka jest expressya tego obrazu, koloryt żywy, dwie pierwszoplanowe postacie pełne życia, ruchu i prawdy; tylko młodzian poza wierzbą za słabo naszkicowany, ledwie cięć jego widać.

Przez przyobleczenie rusałek artysta uniknął wielkiej trudności, to prawda; ale również uwydatnił i uszlachetnił ideę. Nie prosta już, dzika zmysłowość wiedzie młodzieńca do zguby; ściga on ludzką i ludzkie obyczaje mającą istotę, a przynajmniej udającą, że ma takie. Niebezpieczeństwo

staje się przez to groźniejszym, łatwiej wytłómaczonym; rozmaitsze i wykwinniejsze przybiera formy.

W nowym obrazie pana *Alexandra Lessera* widzimy wspaniały krużganek, w którym przy otwartej arkadzie „Królowa Jadwiga otoczona świetnym orszakiem panów oczekuje przybycia Jagielly“; widać go już przez arkadę, na rynku, na czele konnego hufca. Cała ta jednak bogata ekspozycja strojów i architektury obojętnym zostawia widza dla braku pobudek psychicznych: twarzą brak indywidualności, charakterystyki; są wszystkie uderzające podobne pomiędzy sobą; Jadwiga, mniej więcej trzydziestoletnia dziewczęta, patrzy bezdusznie przed siebie, niczem wewnętrznego stanu duszy nieobjawiając.

Z portretowego działu wyborny jest p. *Andrzeja Grabowskiego* „Typ krakowskiej przedmieszcanki“. Na dużych rozmiarów płótnie widzimy kobietę młodą już, siedzącą z książką do nabożeństwa w ręku, w granatowej kapocie z wyłogami wiwiniętemi, z koralami na szyi. Twarz tę cechuje prostota duszy i rozsadek; serdeczność i fizjonomia swojska: zdaje się, żeśmy ją już kiedyś widzieli, że to nasza znajoma; typ—to tak prawdziwy, iż kto się raz przypatrzy temu obrazowi nie zapomni go nigdy. Technika świadczy o zupełnem mistrzostwie artysty.

Z równą prawdą i spokojem i z równie biegłą techniką wymalowany jest przez pana *Horowitza* „Portret damy“, w czarnej jedwabnej sukni, z białą różą u piersi. Zielonawe tło dobrze obrane dla twarzy bladej i śniadawej.

Pan *Wojciech Grabowski* (brat Andrzeja), o którego obrazach wykonanych czarną kredką nieraz już wspominaliśmy (Noc Świętojańska, Gwiazdka, Puszczonej wianek), nadesłał znowu dwie prace tego rodzaju: „Uczta czarownice na Łysej Górze“ i „Wyjście z bóżnicy w sądny dzień“. Pan Grabowski natrafił na tę samą złotodajną rudę, z której Artur Grotger tyle złota wyciągnął. Życzymy mu, aby został takim samym jak jego poprzednik bogaczem, ale chociażby nim nie został, bo to niełatwo, niemniej nie ulega wątpliwości, że umie on dobywać złoto. Jego sędziwy starzec wychodzący z bóżnicy w sądny dzień, wsparty na chłopeczku trzymającym świecę i książkę, jest niepospolitą pracą, w dobrym stylu i z poprawnym rysunkiem. „Zjazd na Łysej Górze“ ma także swoje zalety, widać ten sam ołówek, zdaniem jednak mojem mniej zadawalnia. Przedmiot był trudny, kompozycją bardzo skomplikowana i nie zapanował nad nią artysta. Wiele w niej jest pojedynczych ładnych rzeczy, ale nie wiążą się one w jedną całość, nie ześrodkowują w niczem.

Krajobrazów jest kilka ładnych, żaden jednak nie podnosi się ponad średnią miarę. Pana *Władysława Gościńskiego* widoczki: „Wieczór letni“, „Z nad Warty“ i inne dobrze odtwarzają charakter miejsca i expressyę pory dnia lub roku. Ogromny obraz pana *Adama Malinowskiego* „Wieś Smardzewice na rzece Wkrą“ ma zwykle temu artyście zalety. W jego obrazach wieś polska żyje duszą i ciałem; też same rozrzucone chaty, obcięte nad stawkiem wierzbiny, bydło na paśniku, rozległe niwy, wijące się strumienie, rolnicy pracujący na niwie. Taka od tych obrazów wieje swojskość, iż dusza do nich się wyrzywa. Drobiazgowo wykończenie, będące ich zaletą, dobre jest jednak tylko przy pewnych rozmiarach; łatwiej wtedy stopniować oddalenie. W obrazie, o którym mowa, plany dalsze prawie tak samo jak i bliższe wykończone, co rozumie się bardzo psuje efekt.

W pana *Władysława Maleckiego* widoku „Skały pod Krakowem“ pierwszy plan, przedstawiający strumień, który wije się przez łąkę znakomicie opracowany, ale dalej stojące skały wyglądają jak z kartonu. „Przedmieście Krakowa“ tegoż artysty może mieć zalety prawdy, ale expressyji nie ma.

Małeńkie krajobrazy pana *Henryka Grabińskiego* „Po deszczu“ (Wierzbina) i podobnie zatytułowana praca pana *Franciszka Wastkowskiego* (Sośnina) pełne są wdzięku i prawdy. Tegoż artysty „Zjazd w Łysobychach“, jeżeli przedstawia prawdę, to bardzo smutną; jest to rzeczywiście typ drewnianej brudnej rudery, jakie się po naszych miasteczkach trafiają.

Panny *Krystyny Prusinowskiej* są dwa bardzo ładne malowidła na porcelanie: „Głowa Mulata“

i „Bukiet“. Winszując pięknego talentu, nie możemy wyjść z podziwiania, iż młoda artystka, od lat kilku studiująca w Paryżu ten rodzaj malarstwa, już zapomniła ortografię swojego nazwiska i podpisuje się: *Proussinowsky*.

Wł. Bartkiewicz.

HISTORIA ZBRODNI

TOM II.

DZIEŃ TRZECI.

(Dalszy ciąg).

W rozdziale XVIII, który autor zatytułował: „Utwierdzenie praw moralnych“, wypowiada W. Hugo kilka zdań wielce oryginalnych i prawdziwych, z ową siłą słowa, która, ilekroć nie wpada w przesadę, sprawia istotnie potężne wrażenie. Oto co mówi:

„Rzeź na bulwarze Montmartre stanowi oryginalność zamachu stanu. Bez tej rzezi drugi Grudnia byłby tylko 18 Brumaire’a.

Ludwik Bonaparte przez tę rzeź, unika zarzutu plagiatu.

Był dotąd tylko naśladowcą. Mały kapelusik z Boulogne, szara kapota, orzeł oswojony, wydawały się śmiesznymi. Cóżto za parodia?—pytano się. Dotąd rozśmieszał—nagle zaczął trwożyć.

Ohyda jest furta wyjścia ze śmieszności.

On posunął ohydę do przekleństwa.

Zazdrościł wielkim zbrodniom, chciał zrównać najgorszym. Łotrowstwo, które chce być tak wielkim jak zbrodniość; Neron mały nadymający się na Lacenaire’a wielkiego: takim oto jest fenomen. Sztuka dla sztuki, morderstwo dla morderstwa.

Ludwik Bonaparte wytworzył rodzaj, *genus*.

W ten-to sposób sprawił on niespodziankę. To go odsłoniło.

W pewnych mózgach wiszą przepaści... Zbrodnia tkwi w nich oddawna, rozrzucona i nieświadoma... bo takie zbrodnie nie przychodzą nigdy odrazu i za jednym zamachem; one rosną i dojrzewają, niekształtne i niezdeterminowane, a otoczenie pojęć wśród których są, utrzymuje je żywo, w gotowości w danym dniu. Ta idea, rzeź dla tronu, — obostajemy przy tem — ona zamieszkała oddawna w umyśle Ludwika Bonaparte.

Ona leżała w możliwości jego duszy. Ona tam przechadzała się tu i ówdzie, zmieszana ze zmierzchem, ze zwątpieniami, z pożądaniami, z marzeniami niewiedząc jakiego socjalizmu cezaryjskiego. na wzór hydry, dostrzeżonej poprzez przejrzystość chaosu. Zaledwo sam wiedział, że ta niekształtna idea mieszkala w nim. A kiedy jej zapotrzebował, znalazł ją, uzbrojoną i gotową do usług. Jego niezbadany mózg, żywił ją skrycie. Przepaści bywają zachowawcami potworów.

Aż do tego strasznego 4 Grudnia, L. Bonaparte może się sam nie znał dokładnie. Ci, którzy studiowali to ciekawe zwierzę, nie chcieli wierzyć, żeby ono było zdolne do okrucieństwa prostego i pospolitego. Dostrzegano w nim jakąś istotę złożoną, stosującą zdolności oszusta do marzeń o cesarstwie; dostrzegano człowieka, który nawet ukoronowany, byłby jeszcze filutem, i kazałby powiedzieć o ojciecójcy:

„Jakież-to oszustwo!“ Niezdolny był ustalić się na jakiejś wyżynie, nawet podłości; — zawsze wpośrodkach, trochę ponad dobrymi łotrami, trochę niżej od wielkich łotrów. Uważano go za zdolnego do uczynienia wszystkiego, co się robi w szulerniach i szynkowniach, lecz z tą transpozycją, iż

oszukiwać będzie w szynku a zabijać w szulerni.

Rzeź bulwarowa rozebrała nagle tę duszę. Ujrzano ją taką, jaką była; przydomki śmieszne: *Gros-Bec*, *Badinguet*, zniknęły; poznano bandytę, poznano prawdziwego *Contrafatto*, ukrytego w fałszywym Bonapartym.

Dreszcz przeszedł wszystkich! Więc taką-to rzecz, chował człek ten w zanadrzu?!

Silono się na apologię. Musiały upaść. Chwalić Bonapartego jest rzeczą łatwą, — chwalono i Dupiną — ale oczyścić go? to trochę przytępiona operacja. Co począć z 4 Grudnia? Jak się z tego wydobyć? Usprawiedliwiać trudniej aniżeli stawiać; z gąbką trudniej tu aniżeli z kadzidłem, — pnegirysci zamachu stanu, pracowali nadarmo. Pani Sand sama — a przecie wielka dusza — próbowała, niestety, rehabilitowania; lecz cóż, kiedy, cobądź-by uczyniono, cyfra zabitych wyłania się z poza tego czyszczenia.

Nie, nie — żadne złagodzenie tu niemożliwe. Nieszczęsny Bonaparte! krew rozlana, trzeba ją wypić!

Fakt 4 Grudnia jest jednym z najkolosalniejszych pchnięć sztyletem, jakich kiedykolwiek w cywilizacji próbowali bandyci — i to pchnięcie zadanych nie już ludowi, ale całemu rodowi ludzkiemu.

Cios był potworny i przyniósł Paryż. Paryż zgnieciony — to sumienie, to rozum, to cała ludzka swoboda zgnieciona!

To postęp wieków, rozciągnięty martwo na bruku, — to płomień sprawiedliwości, prawdy i życia, odwrócony i przygaszony!

Oto, co uczynił Ludwik Bonaparte w dniu, w którym to uczynił.

Powodzenie nędznika było zupełne. Drugi Grudnia był stracony, — 4 Grudnia uratował dzień 2 Grudnia. Było to coś, niby Herostrat ratujący Judasza.

Paryż zrozumiał, że poza mordercą jest jeszcze szurnyner... Ten człowiek małym był — dobrze — ale przerażającym.

Paryż zgodził się na to, nie chciał odgadywać ostatniego słowa, położył się i udał śmierć...

Zbrodnia ta nie przypominała podobnej. Ktokolwiek-by po stuleciach — choćby Eschyl lub Tacyt — podniósł wieko, uczułby odór zgnilizny. Paryż zrezygnował, Paryż abdykował, Paryż rzekł się być Paryżem; nazajutrz można było posłyszeć zgrzyt zębów, tego przestraszonego tyrana.

Kładziemy na to nacisk — bo trzeba stwierdzić prawa moralne.

Ludwik Bonaparte pozostał nawet po 4 Grudnia Napoleonem Małym. Ta niesłychana olbrzymość, pozostawiła go i tak karłem.

Rozmiary zbrodni nie zmieniły bynajmniej wzrostu przestępcy, a małość mordercy opiera się olbrzymości morderstwa.

Cokolwiekby, pigmejczyk dał rady kolosowi. — Wyznania tego — jakkolwiek upokarzającego — uniknąć nie można.

Oto na jakie rumienie wstydów skazana jest Historia, ta wielka — którą shańbiono.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięztwo.

Kiedy Mathieu de la Drôme rzekł do nas: „Jesteście u króla Bemby“, wszedł Karol Gambon. Upadł na krzesło szepnąwszy: „To straszne“. — Za nim wszedł Bancel. — Jesteśmy — rzekł. Gambon zdołał się skryć za framugę drzwi i przed samą Barbedienne, naliczył 37 trupów.

Lecz cóż to wszystko miało znaczyć? W jakim celu ta potworna rzeź na chybił trafił?

Nie nie pojmwano. Zagadka tkwiła w tej rzezi.

Nadszedł Labrousse. Trzeba nam było śpiesznie opuścić dom Dupont-White’a, gdyż miał być wnet otoczonym. Od kilku chwil ulica, Montabor zazwyczaj pusta, zaludniała się podejrzanymi figurami. Jacys ludzie zdawali się silnie przypatrywać domowi N. 11. Kilku z tych ludzi, zdawało się należeć do dawnego klubu klubów, który dzięki manewrom reakcji, nabrał woni policyjnej. Potrzeba się było rozejść. Labrousse rzekł: Właściem dojrzał szpiegującego Longepied.

Rozłączyliśmy się. Każdy poszedł z osobna w inną stronę. Nie wiedzieliśmy: kiedy i czy się zobaczymy; co się jeszcze stanie, i co się stanie z nami?

Skierowałem się ku bulwarom, chcąc zobaczyć co się dzieje.

Przyłączyli się do mnie Bancel i Versigny.

W chwili, gdy opuszczałem bulwar, zmieszany z huraganem przerażonego tłumu, niewiedząc dokąd iść, tylko kierując się ku środkowi Paryża — głos jakiś szepnął mi nagle w ucho: „Jest tu coś, co trzeba, iżbys pan widział. Był to głos E. P.

E. P. jest autorem dramatycznym, człowiekiem utalentowanym, którego za Ludwika Filipa uwolniłem od wojska. Nie widziałem go lat pięć, teraz dopiero spotkaliśmy się z nim w tym tłumie. Mówił ze mną tak, jakgdybyśmy się wczoraj dopiero widzieli. Tak-to bywa w tych chwilach przerażających. Niema czasu na przypominanie i poznanie; mówi się do siebie tak, jakgdyby wszystko było w ucieczce.

— Ah, to pan! — rzekłem — czegoż chcesz?

Odpowiedział: — Mieszkam tu w tym domu. I dodał:

— Chodź pan.

Pociągnął mnie za sobą w ciemną uliczkę. Słyszeliśmy strzały, w głębi ulicy widać było ruiny barykady. Versigny i Bancel, jak rzekłem, byli ze mną.

E. P. zwrócił się do nich.

— I ci panowie niech raczą z nami.

Zapytał go: jak się zwie ta ulica?

— Ulica Tiquetonne. Chodźmy.

Poszliśmy za nim.

Opowiedziałem w innem już miejscu (1) tę przygodę tragiczną.

E. P. zatrzymał się przed domem czarnym i wysokim. Popchnął furkę niezamkniętą, potem drugie drzwi — i weszliśmy do sali niskiej, pogodnej, oświetlonej lampą.

Izba ta zdawała się przytykać do sklepu.

W głębi widziano dwa łóżka tuż przy sobie, wielkie i małe. Ponad małym łóżkiem wisił portret kobiety, a nad portretem, gałązka poświęconej palmy.

Lampa stała na kominku, na którym się paliło. Obok lampy, na krześle, siedziała stara kobieta pochyłona, zgnieciona, skurczona we dwoje, jakgdyby złamana, nad czemś, co leżało w cieniu, a co trzymała w swych ramionach. Zbliżyłem się. To, co trzymała, było umarłym dzieciąciem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 15-ty powieści pod tytułem: *Zamek Daly*; oraz powiastka *Mateo Falcone*.

(1) W „Les Clâtiments“.

TREŚĆ. Święte niewiasty, (poezya), przez Maryę Illicką. — Wielkanoc, (dokończenie), przez K. Wł. Wójcickiego. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Aniołowie i święte niewiasty, (drzeworyt). — Odczyt pana Tarnowskiego, przez S. K. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd artystyczny, (dokończenie), przez W. Bartkiewicza. — Historia zbrodni, W. Hugo, przełożył Edward Lubowski.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Апрель 1878 года